Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

29. Kwietnia 1856. №=51. Rok trzeci.

Sejmik w lesie.

Ciąg dalszy.

— Otóż muszę ci to wytłumaczyć, jakim sposobem mogli tacy ludzie przyjść do tej podłości. Wady nasze, wady te wielkie tem wyraźniej występują w tem otrętwieniu koniecznem, w tem próżniactwie, któremu oddawać się muszą. Bo i cóż będą robić. Duma szlachecka nie pozwala im zejść na chłopów, i czyż można dumę tę potępić? Ludzie zimni zrobią to, ale człowiek z sercem westchnie i zamilknie. Dawniej mieli ciągłą wojnę, która ich czas i umysły zaprzątała, i wznosiła ducha!.. Dawniej ta zagroda tak im droga, bo z dziada pradziada przekazana, starczyła na ich potrzeby, na ich życie otwarte, a co im zabrakło, to dodały domy panów, zkoligaconych nieraz z niemi wspólnem, herbowem pochodzeniem. Na pańskim dworze wykształcili się i w sztuce wojennej, i w sztuce światowej; z magnatem poszli na sejm, z magnatem ruszyli na Turka lub Tatara. A był z tego i pożytek dla nich i pożytek dla kraju. Dzisiaj inne wyobrażenia wzięły górę, dziś nauką i pracą dobić się tylko można znaczenia. A nasza szlachta tego nie chce rozumieć. Cóż więc robią? padają na bezdroża wszystkie jakie wypływają z braku wykształcenia, z próżniactwa i z niedostatku. Żal mi ich, żal mi nas. Ja stary, nie długo już na to patrzeć będę, i daj boże, by się te oczy co tyle co dzień przykrego widzą, by się jak najprędzej zamknęły. Bo ja już nic lepszego nie zobaczę. Ty młodszy może zobaczysz. Życzę ci tego z serca dla ciebie, i dla nas wszystkich. A tymczasem dobrze że idziesz na księdza, lepiej niż żebyś gnuśniał w domu. A jak nim raz zostaniesz, módl się, módl się gorąco do tej opatrzności, co nad nami dawniej czuwała, do matki boskiej, tylo-wiekowej orędowniczki naszej, a między temi, za których dusze modlić się będziesz, zmów z jeden paciorek za starego Kazimierza Krzywdzica.

Tu stary zamilkł, bo mu żal serdeczny mówić dalej nie pozwalał.

— Ot stary, przemówił po chwili ocierając zwilżone oczy, to jak dziecko, lada czego rozbeczy się. Lecz co to ja tobie chciał powiedzieć. Aha! więc tedy prócz tych wszystkich wspólnych złego przyczyn, trzeba ci powiedzieć, że Józef Lubasz i tamci jego krewniaki, to byli w naszych zaściankach najbogatsi między nami. Nieboszczyk stary Stanisław Lubasz zostawił synowi prócz bydełka, dziesięciu włok gruntu, pastwiska i porządnej chaty, samemi karbowańcami do siedmiuset złotych, i kilkanaście sztuk dukatów węgierskich z matką boską. Pan Józef był porządnym bardzo gospodarzem, ożenił się z poczciwą i nie ubogą szlachcianką, Burczymuchówną z domu. I szło mu wszystko z ręki, chociaż nie był on nigdy skąpy, i dla gościa był bardzo serdeczny. Ale co człowiek pomoże na nieszczęście. Jak ma przyjść taki dopust boży, to choćby się i zamknął, i wrotami i okienicami, nieszczęście wejdzie do domu. Trzeba ci tedy wiedzieć, że oni wszyscy czterech jak ich widziałeś, mają grunta swoje od samej naszej granicy, co przypiera do Ihnatówki, największej wsi w naszej okolicy. Dobre to panisko był nieboszczyk pan stolnik, dziedzic Ihnatówki; prawdziwy był nam sąsiad. Bywało na św. Marcina, który był patronem pana stolnika, tośmy zawsze u niego na tłustej gęsi szukali jaka będzie zima. A bywało nieboszczyk był ogromny myśliwy, ta to u niego psiarnia to jakby wojsko jakie, a jakie knieje, hej! hej! jak człowiek zatrąbi, a głos pójdzie po rosie, to aż serce ledwie nie wyskoczy z radości; a tu psiska zagrają rachu! rachu! a człowiek stoi na przesmyku pod dębem, a tu sarna wprost bieży... paf! paf, na całej linji, to jakby na wojnie. To też bywało, stolnik zaprasza nas panów bratów z Lubaszy i Krzywdzy na polowanie. Co to się tam napolowało, a co napiło starego miodku, który nikt w okolicy nie umiał tak sycić jak nieboszczyk pan stolnik Trębowelski, jak go nazywano. Ktoby się to spodziewał, że z tej samej Ihnatówki przyjdzie bieda do naszych zaścianków. Tymczasem tak się stało. Poczciwy stolnik jakoś na wiosnę zaniemógł, i po świętym Józefie leżał już na katafalku. Oj co to było u nas płaczu... Ale ot już moja zagroda. Witam was w niej mój młody przyjacielu!.. Rozgośćcie się, a ja wam reszty dopowiem.

Chata starego Krzywdzica w ślicznem była położeniu. W końcu lasu była mała pochyłość, a na niej na samym cyplu stał porządny futorek, cały otoczony zielonym wieńcem, naprzód sadu, o potem i kołem brzóz licznych, które wybiegłszy z lasu, tu i owdzie porozrzucane, otaczały futorek. Przy samym futorze pochyłość się nagle urywała, jakby połowa jej odpadła, i na dole urwiska był stawek, podsycony strumykiem, który po zielonej płynął łączce, pomiędzy wierzby przemykając się, a na stawku mała grobelka wierzbami zasadzona, a przy grobelce młynek i szumiący przy nim łotoczek. A dalej jeszcze na rogu łączki widać było nie wielkie obejście, jakby klomb jaki ogrodowy, staremi lipami ocieniony, pomiędzy które białały porozstawiane ule. Wszystko to razem miało w sobie coś szczególnie

uroczego, tą swoją prostą sielskością, i wszystko razem jak mi powiedział stary Krzywdzic, było jego własnością.

Dziedzińczyk był nie wielki ale czysty, prócz kąta na drewutnię przeznaczonego, gdzie z pomiędzy mnóstwa trzasek rozrzuconych, jakby łódź na morzu sterczała ogromna kłoda. Do chaty czysto pobielonej, obitej gątami, z wysokim kominem, wchodziło się przez rodzaj ganeczku z dwóch drewnianych słupów utworzonego, co chacie nadawało postać dworku. Snać je też na to szlachcic umyślnie tam postawił. W sionce nie wielkiej przywitał nas wesołem skowyczeniem jakiś kundys stary, który zdawał się nie tyle pilnować domu, ile odpoczywać na zasłużonym chlebie. Za kundysem wybiegł także jakiś młody chłopczyna z ładną twarzyczką, mimo rozczochranych włosów i zaspanych oczów błękitnych. A za niemi z najciemniejszego kąta zaświeciły jakby dwa pruchna oczy pomrukującego kota.

— Ty nie spisz Grzesiu!..

— Czekam na dziadzia, odrzekł chłopiec przeciągając się, ale oczy już żywsze spojrzały na starca z wyrazem dziecinnego przywiązania.

— To mój wnuk z łaski bożej, on biedny sierota, tak jak ja dawno już bez własnych dzieci; dawno, dawno już pomarły, wyrzekł staruszek z wyrazem żałośnym, który często występował na jego twarz sędziwą.

Chłopczyk odwrócił się, i rękę z palącem się łuczywem przez chwilę przytulił do oczów.

Weszliśmy do izby, która wraz z komorą zajmowała całą chaty połowę. Izba była bez podłogi, i z powałą o ciemnych przez wiek, drewnianych belkach, ale mimo to była w niej czystość nadzwyczajna, i wiała w niej woń jakaś prawdziwie nasza, ojczysta, patryarchalna, jaką stare nasze mają dworki. Szła ona od pieca kaflowego, na którego porzezanym przyczołku w rząd poukładane stały jabłka, szła ona od wpółotwartej szafki w ścianie, z potężnym plastrem miodu na pstro polewanej misce, szła ona ze święconych wianków, między któremi prosta lampa przed zaciemnionym obrazem matki boskiej poczajowskiej gorzała dzisiaj jako w dzień sobotni. Dziwnie miłe uczucie zadrzało w młodem mojem i niezepsutem jeszcze sercu; zdało mi się być jakby w domu rodzinnem, bo i zaprawdę w dawnem życiu naszem, które przemawiało z każdego kąta izby, wszystkie dworki nasze szlacheckie były jedną wielką rodziną, dzieci jednej serdecznie ukochanej matki. Staruszek wszedłszy, obrócił się do mnie, uśmiechnął serdecznie i powitał:

— Niech będzie pochwalony, wyrzekł.

— Witaj mi miły gościu, dodał.

Nie mogłem wytrzymać, porwałem starca za zgrzybiałą rękę i przycisnąłem do ust. Staruszek przycisnął mnie do siebie, i pocałował w głowę.

— A teraz Grzesiu! rzekł do chłopczyka, trzeba pomyśleć o gościu naszym, by co spożył, i spoczął u nas. Jest tam jeszcze kawałek lina studzonego z wczoraj, a może by nasza stara Paraszka sparzyła szambelana na prędce, zanim przyniosę ze stosika siana na posłanie.

Uśmiechnął się chłopiec i wybiegł na przeciwko, a stary widząc zadziwienie na twarzy mojej dodał:

— Tak ci pan Jakób nigdy nie mówił o takiej potrawie. Za naszych czasów, a było to jeszcze zostało od ostatniego króla, to żydzi nawet po karczmach nazywali jajecznicą szambelanem, przymawiając łatwości, jako ni z mięsa ni z pierza, nie jeden został w lot szambelanem.

— A tymczasem mówił dalej, napijmy się śmierdziuchy, i poszedł do szafki. Dawniej my to gorzałką nazywali, bo to przecie była żytniówka, dziś ją wyciskują z kartofli.

Nim stary wyjął flaszeczkę, kieliszek i kawał razowego chleba, obejrzałem się po ścianach, czysto pobielonych. Nie było na nich żadnych obrazów, prócz rzezanego obrazu świętego. Nad łóżkiem tylko staruszka, bielutką serwetą pokrytym, było nad głową parę obrazków świętych patronów, niektórych najwięcej na naszej ziemi czczonych, a na boku wisiały pojedynka o długiej rurze i przykładzie, sznurkiem owiązanym; torba myśliwska i róg do trąbienia, a niżej stare jakieś, w ciemnej skórze oprawne szablisko zakrzywione, z resztkami jakiegoś pendentu skórzanego, pod tem wszystkiem zaś obrazek kolorowany, na którem jakiś kolorzysta godnemi sztychu barwami namazał zdybanie się Pawła cesarza z naszym Kościuszką w więzieniu, gdy przychodzi uwolnić go. Na stoliczku koło łóżka leżała koło drewnianego krucyfiksu z bronzowym zbawicielem, stara ciemna, dobrze zużyta, i wielka dosyć księga do nabożeństwa.

W krótce też przyniósł chłopiec wieczerzę, a przy wódce i szambelanie zasiedliśmy oba, podczas gdy stara jakaś babusia krzątała się koło pieca, przyrządzając dla mnie ogromnie szerokie i wysokie łoże z woniejącego sianka.

— Tu w tej izbie będzie ci lepiej, mówił stary bo tam w komorze trochę wilgoci, i stoją octy mojej fabryki, które tam czasem zabierają moi sąsiedzi, ba nawet i w Samborze. To dla mojego sierotki, dodał zbieram jak mogę.

— Ale teraz, ozwał się po chwili, podsuwając mi lina, winienem ci dokończyć com ci zaczął o starym stolniku. Bo mi to na sercu, abym ci wytłumaczył, po jakiej to drodze przychodzi nasza biedna szlachta do takiego smutnego upodlenia. Stolnik tedy jak umarł, został po nim syn jedynak, tak do nieboszczyka ojca podobny, jak to całe dzisiejsze pokolenie do dawnego pokolenia. Syn już był nawet hiszpańskim szambelanem, i młody jeszcze, nażył się już nie mało po obcych krajach. Z tych wojażów jak to nazywają, nic nie przywiózł, i owszem co miał to tam zostawił, bo i zdrowie i zęby, pieniądze i poczciwość. Prawda że nawiózł jakieś małpy, papugi i boże odpuść, nawet jakąś włoską śpiewaczkę czy inne licho. Szkoda mówić, nie dobry to był człowiek, a przynajmniej my nie mieli z niego pociechy bo chodził zawsze nadęty jak indyk, i nawet na szlafroku miał guziczki szambelańskie, i jakiś zakonny krzyżyk, co mu go tam gdzieś na okpisz za order przedali. A przecie żal mi go było, bo to przecie syn stolnika, starej i poczciwej krwi, którą mu tam gdzieś zepsuli i zarazili. Chodził jak nie swój, i widać mu było z twarzy, że nic go już na świecie zabawić, nic ucieszyć nie potrafi.... Ale po zimnem, napij no się tej śmierdziuchy. Ja ją tam trochę przelutrował i parę ziarnek anyżu dodał. Do ciebie, Jasiu!..

A gdyśmy się napili, stary, zażył tabaczki i mówił dalej:

— Włoszka tymczasem uwijała się jak szara gęś po nieboszczykowskim majątku, dobrała sobie jakiegoś anglika czy francuza, czy holendra podobno, coś gdzieś tam za Brandeburgii, i oboje gospodarowali po zagranicznemu. Tfu! toż to było gospodarstwo. Tam gdzie była dawniej śliczna pszeniczka, jak dukat czerwona sendomirska, tam oni siali jakieś trawki, szpinaczki i rzepki. A łąkę to całą skopali, szukając gwałtem wody, co im było potrzeba do ogrodu, z którego dziwy jakieś porobili, i w którym był most jakiś, ale bez wody, i ze skały, pono z gliny ulepionej, miała spadać woda także. Jakie gospodarstwo, tacy i goście bywali. Rzadko tam we dworze polskiej mowy można było usłyszeć. Najprzód jeździli tam jacyś panicze, ale że coś tam włoszce na nos siadło, i piwnicę starego jegomości wypili do szczętu, zaczęli jakieś zajeżdżać komedianty i ze starej kaplicy zrobili salę, i puszczali tam komedyje. Nie długo to tak iść mogło. Mój boże! za co takie pokaranie na poczciwy ród starego stolnika. Jednej nocy włoszka razem z mądrym komisarzem wynieśli się milczkiem, a szambelan siadł na skale, co to miała z niej woda spadać, i — o zgrozo! zastrzelił się i to jakąś wiatrówką, że mu nawet ani kawałka głowy do trumny włożyć nie mogli. Tu dopiero się zaczęło bezkrólewie; najprzód przyszli dłużnicy, potem jakieś sekwestracje, licytacje, i już ja nie wiem co więcej. A każdy co przyszedł to darł co mógł, i jak mógł. Aż się znowu pojawił ten komisarz zabrandeburski; włoszki widać się pozbył tymczasem, i jakoś ponabywał długi, a i sam pokazał jakiś cyrograf nieboszczyka, a że pokazało się, że był niby szlachcicem, czy baronem holenderskim, dosyć że kupił majątek i został dziedzicem ni z tego, ni z owego.

— Skarzyli my się na szambelana; mówił dalej staruszek, aż teraz my dopiero poznali, że to były jeszcze święte czasy. Nowy dziedzic to był dopiero dusigrosz, a duszę dalipan miał żydowską. Już to dobrze pono mówił nieboszczyk Bożyszkiewicz, gracjalista nieboszczyka stolnika jeszcze, który dawniej niemało zwiedził świata, jeżdżąc z pszenicą do Gdańska, że to tam w tej Holandyi za Brandenburgją to same prawie żydy mieszkają, a jak zrobią majątek to zostają szlachtą. Niewiem tego ja, ale co robić! co kraj to obyczaj! — Już to najgorszy szlachcic nie mógł by tak dręczyć chłopa biednego, jak nowy dziedzic. A gdy już ich dosyć się nadarł, wziął się do nas. Gdzieś tam dobył papiery jakieś, co jak pojechał do miasta, tak i znalazł takiego kauzyperdę, i z nich wyczytał graniczny proces naprzeciw nam. Mówiłem wam, że pan Józef i jego krewni mieli grunta na samej granicy prawie. Do nich też się wziął najbardziej ten przeklęty holender. I nic nie pomogło. My wszyscy wiedzieli, że te grunta posiadali jeszcze ich dziadowie i pradziadowie, były i przysięgi, ale do czego to prowadziło. Kto dziś wierzy w przysięgi, prawda że dziś tak łatwo przysiądz, jak piórko osmalić. Biedaki nasze bronili się jak mogli, ostatni grosz dobyli i chodzili po wszystkich sądach, ocho! wrócili goli. A tu przyszli komisje, a te komorniki, ta że prawdziwe beczki dziurawe, bo to i lej i dawaj!.. i lej i dawaj!.. a oni pij i bierz, bez końca.

Co tu długo gadać! Wyssani jak gdyby ich pijawki końskie w błocie obleźli, przegrali proces, najlepszą część gruntu, łąki i pastwiska zabrali, a na koszta procesu zagrabili ich do szczętu. Z rozpaczy rozpili się, a pijaństwo do wszystkiego prowadzi. Łażąc po karczmach, a tu już nie było ani co zjeść w domu, ani co zastawić, poznali się z tym łotrem rzeźnikiem, mudio zwyczajnie złodziej, namówił ich, aż też oni jemu samemu ukradli woły, i na taką sprawę niesłychaną w naszych zaściankach, przyszło na naszą wieczną hańbę. Ja ich nie mogę tłumaczyć, ja ich potępiam, ale przecie żal mi ich, bo to byli dawniej wcale nieźli ludzie. (C. d. n.)

Wieża i powódź.

(*z niemieckiego.*)

Na stromym brzegu, na ostrej skale,
Warowna piętrzy się wieża,
Patrzy na ziemię, patrzy na fale,
Czoło ku chmurom najeża.
A tam u spodu szum głuchy,
To wieczne morza poruchy.
A fala spoczynku nie zazna ni raz,
Brzeg płucze, i tłucze się ciągle o głaz.

Na cóż o falo, ci się przydały
Twoje zapasy gwałtowne?
Z twej tysiącletniej groźby zuchwałej
Szydzą te mury warowne.
A ty od ranku do zmroku,
Na śmierć się niesiesz w poskoku.
Lecz fala spoczynku nie zazna ni raz,
Brzeg płucze, i tłucze się ciągle o głaz.

W szereg odważny fale się zwarły,
I łamią głowy swe sine,
A dotąd z miejsca tylko wyparły
Ziareczko piasku jedyne!
I dumnie wieża się wzbija,
Fala za falą przemija...,
Lecz fala spoczynku nie zazna ni raz,
Brzeg płucze, i tłucze się ciągle o głaz.

Aż oto nocą, wichry zachodu
Po fal szturmują przestworze!
Wzdyma się w baszty olbrzymie grodu
To ciche, to wieczne morze.
A w szczerby wściekłe bałwany
Białe wciskają swe piany.
Oh! fala spoczynku nie zazna ni raz,
Brzeg płucze, i tłucze się ciągle o głaz.

Wyście ufali w mocne siedliska,
Drzyjcie! już mury nie chronią!
Oto was powódź porywa, ściska
Tysiącpalcową swą dłonią!

*

O samej dobie północnej,
Zamek roztrzaskał się mocny.
Oh! fala spoczynku nie zazna ni raz,
Brzeg płucze, i tłucze się ciągle o głaz.

A.

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Córa Piastów. W dalszym poczecie samodzielnych utworów Syrokomli znajdujemy mały poemacik, pod nazwiskiem córa Piastów. Osnowa tego poematu jest następująca: Po Narymuncie panuje w Litwie młody Trójden. W sąsiedzkiem Mazowszu rządził wtedy Konrad, syn Ziemowita, młodzieniec, lubiący biesiady i łowy. Przy dźwięku puharów i rogów myśliwskich zasypiał słodko władzca Mazowsza, a stosując się do tego trybu życia, uganiali się po lasach baronowie, a starostowie ucztowali. Żołnierze wojowali z dzikami, a mury zamków pozapadały i porosły chwastem. Na takie to Mazowsze zwrócił swe oko dzielny, młody Trojden. Obudziła się w nim chęć zaboru i łupu. Na czele zbrojnych wyrusza z Litwy. Dzielnie wygląda na czele orszaku:

Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki, roboty nie lada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada,
Twarz ogorzała, lecz krasna i świeża;
Brew lekkim marsem pysznie się najeża,
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się niedostoi,
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela,
I czułe serce niewinnej dziewoi....

Taki naczelnik hufców litewskich zbliża się pod zamek babiński. W zamku pusto i głucho. Straż spi, inni na łowach. Litwini nie znalazłszy oporu, wchodzą do zamku i poczynają go rabować. Zabierają złoto i srebro, obdzierają ołtarze, a resztę palą na ogniu, rozłożonym w dziedzińcu. Przebiegają puste komnaty Piastów, wszędzie dym i płomienie. Wreszcie zapija się tłuszcza miodem piastowskim i rozpasane namiętności szerzą gwałt i pożogę.

Wtem powracają strzelcy Konrada z łowów, i bój wszczyna się na nowo. Na czele strzelców walczy siwowłosy Pełka. Lecz dzielny starzec ginie w pojedyńczej walce z Trojdenem. Walka wytrzeźwia Litwinów, którzy w końcu zwyciężają. Trojden rabuje zamek, powtórnie zdobyty, do szczętu. Sam przebiega komnatę, a otworzywszy trzecie podwoje, cofnął się zdumiony, bo

.... dziewica lacka,
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu,
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada,
Jak blada róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada,
Lecz jej spojrzenie ognińcie się żarzy,
A wyraz strachu nie postał na twarzy.
. . . .
W czarnej odzieży i białem nagłowiu
Stanęła we drzwiach.
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić kto wniść się odważy!..

Trójden się cofnął, lecz piękny wyraz jej twarzy już już przebił młodego rycerza. Z pokorą słucha jej, gdy mówi:

Słabość dla mężnych jedyna zapora,
Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora....

I usłuchał pięknej dziewicy wódz młody i nieposzedł do komnaty, gdzie matka chora, ale natomiast zapukał do jej serca:

Kniahini Lachów, my chrobrzy z chrobrymi
Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze,
. . . .
Nie wskrzesić z martwych tych co w boju padli
Lecz każę przestać wojennej srogości,
Nie mówcie proszę, żeśmy zbyt zajadli,
Przyjmijcie Lachy Litwinów za gości, ...

I piękna Hanna przyjęła młodego Trójdena za gościa w dom i w serce swoje; a walka ustaje, a rozebrany ze zbroi Litwin idzie przed łoże chorej matki aby z matką córy Piastowej chleb i sól spożyć. Dowiedziawszy się o tem Henryk wpada do komnaty i rzuca się na Trójdena. Trójden powala go o ziemię, między walczących staje Hanna i godzi ich. Matka wiąże ręce Hanny i Trójdena przy uczcie, która nieprzyjaźne sobie narody spaja w węzeł bratni.

Córa Piastów należy do tych mniejszych utworów Syrokomli, co to, jak mówią, poeta z rękawa wytrząsa. Jest wiersz gładki i potoczysty, język wyborny, mistrzowskie obrazowania i ta nieoceniona swoboda artysty, któremu nigdy dzieło nad głowę nie wyrośnie, ale nie ma wyższego zapału, wyższej, nowszej myśli. Są to wprawne loty umysłu i serca, ale te loty trzymają się zawsze poziomu, a chociaż zwinne, szybkie i różnorakie, widzimy jednak z żalem, że w skrzydłach poety brak orlich sterówek, któreby go wznieść mogły w wyższe krainy ideału społeczeńskiego. Osnowa wspomnionego poematu ma więcej cechy szerszej balady, rzuconego pobieżnie szkicu, a żadna postać nie pozostanie z niego w pamięci czytelnika, prócz samego zdarzenia, które, jak mówi w epilogu poeta, wyjęte jest z kroniki dziejowej. Czytając »Córę Piastów« zdaje się nam, że poeta chcąc nam okazać bogactwa poetyckiego swego talentu, rozkłada przed nami jak kupiec w sklepie, rozliczne piękne i drogie materje; podziwiamy, chwalimy je ale myślimy sobie przytem, coby to za piękną suknię można zrobić z takiej wybornej materji?.... Syrokomli brak dotąd wtajemniczenia się w misterja sztuki.

Zgon Acerna, *chwila z XVI wieku.* Sebastjan Klonowicz, z łacińska Acernem zwany, autor «Worka Judaszowego« występuje tu bohaterem tego poematu. Jest to tragedja każdego wyższego ducha na ziemi. »Niezawstydzimy się obcych, mówi Syrokomla w przemowie do Kraszewskiego, który w pismach swoich także kilka łez nad dolą sierocą Klonowicza wylał, że mają *Tassa w więzieniu, Kamöensa w szpitalu:* i my zabiliśmy jednego z naszych genialnych ludzi, i my daliśmy naszemu Klonowiczowi umrzeć w Jezuickiej infirmerji.... To dawno! dzisiaj nie powtarzają się podobnego rodzaju zabójstwa.«

Pojmujemy ironją ostatnich słów Syrokomli, a nawet przebaczamy mu pobieżne skreślenie sceny tak tragicznej i tyle nam odsłaniającej, jeźli sam to czuje, że potrzeba było »oszczędzić goryczy i sobie w chwili pisania, i czytelnikom.« Zaraz na początku uderza nas myśl czarna jak rozwieszony kir śmiertelny:

Czego ten stary brytan opuściwszy szyję,
Do furty jezuickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzi mrowie!
O takie skowytanie pewno zgon przepowie!..

Dowiadujemy się, że autor: »Zwycięztwa bogów, Worka Judaszowego, Roxolanii, Flisa» leży w infirmeryi na łożu śmiertelnem. Opuszczony od niegodnej małżonki, przyciśniony nędzą, zaprzysiężony nieprzyjaciel Jezuitów, o których mówi w Judaszowym worku:

Choć się zdają nabożni i na twarzy srodzy,
Przecież od nich bezprawie odnoszą ubodzy,
Przejmują ich dochody, jałmużne i czynsze,
Porcye i legata i pożytki insze....

ten sam poeta musiał umierać w szpitalu, ich funduszem utrzymywanym. Do srogich mąk ciała przyszła i męka upornej i hardej duszy

Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga,
I przykrzejsze od nędzy, miłosierdzie wroga!...

Syrokomla występuje w tym poemacie przeciwnikiem zakonu jezuickiego, a przyjęcie Klonowicza do szpitalu wystawia jako czyn fałszywego, faryzeuszowskiego miłosierdzia. Zaraz na wstępie wita go ojciec odźwierny:

....I ów Acernus głośny i sławiony szeroko,
Przyszedł na stare lata do torby i kija,
Nędza go i zgryzota przed czasem dobija,
I kraj, co w jego pismach tak wiele spodoba
Nie dźwignął swego wieszcza z barłogu Hioba?...
Lecz przyszedł Jezuita, wziął z błota oszczercę
Okazał niegodnemu miłościwe serce,
Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonej wala,
Dał mu gościnny kącik swojego szpitala,
Niech świat patrzy i uzna Jezuitów czyny
Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny....

Zaiste takie miłosierdzie, byłoby srozsze od chorób ciała dla wielkiego ducha poety, a w takim razie mógłby mu słusznie Syrokomla włożyć w usta:

Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga
I przykrzejsze od nędzy, miłosierdzie wroga....

Ale my nie przypuszczamy takiego wyrodowienia ludzkiej natury, i cieszymy się tem, bo wierzymy w lepszą stronę ludzkości, że wielki nasz Acern nie tak ciężko cierpiał w infirmerii jezuickiej, jak mu cierpieć każe jego dzisiejszy poeta.

Konający Acernus w chwilach gorączkowych przebiega myślą cały swój żywot i dzieła swoje, i stosownie do snujących się przed jego oczyma obrazów, rozwesela i zasępia się. Wygłasza pojedyńcze ustępy z pism swoich a oglądając się w ubiegłe życie swoje, mówi ze łzami:

Teraz czuję co mogłem, ale już niewcześnie,
O gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcej,
Dziśbym kochał goręcej, dziśbym śpiewał więcej,
Nie doznawałbym wstydu, co mnie dzisiaj miota,
Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota,
Wiele było mi dano, wiele się dopomną...

Ileż to nauki zawierają dla nas te słowa konającego?... Poeta żałuje że śpiewał za gorzko, że nie śpiewał jak dobry najmita pana. W żalu tym jednak przebija się dzika ironia, po za którą ukrywa się sens moralny, że tym dobrze na świecie, co wszystko chwalą. Do spadkobierców harfy swojej odzywa się, aby jej struny wprzód z rdzy oczyścili, bo

...Kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku,
Ktokolwiek pieśnie moje odziedziczy w spadku,
Niech je samą miłością rozkołycha szczerze,
Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
A choćby kiedy ludzie zimni i nieczuli,
Octem mu czarę życia i żółcią zatruli
Choćby mu raniła serce jadowita żmija,
Niech nektar niesie braciom a żółć sam wypija...

Do celi konającego przychodzą mieszczanie, krewni, i sąsiedzi. Klonowicz był niegdyś rajcą miejskim, więc wypada oddać mu cześć ostatnią. Ale zamiast współczucia ubolewają mieszczanie, że Klonowicz swój żywot zmarnował, że brząkając po harfie, nie myślał o tem, aby sobie grosza uzbierać. Mógłby przecież założyć w mieście jaki handelek, mógłby jako rajca coś od żydków skorzystać, ale jemu nie było to w głowie. Co najgorsza, powstawał przeciw możnemu zakonowi, a gorzej niżeli to, że pisał przeciw panom. To go dobiło, i w ostatniej nędzy rzuciło na wiązkę słomy, aby na niej pysznego ducha wyzionął.

«Tak, tak, rzecze pan Krzysztof, *Aulicus* rzeczony,
Bo służył w pańskich dworach, mniejsza z jezuity;
Ale jeśli plebejusz, sukmaną okryty,
Pocznie pańskim splendorom złorzeczyć niegodnie,
Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie,
Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
W jasny naród szlachecki satyrą ukole,
To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi,
Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi,
Z panami najbezpieczniej, kiedy człek najsłodziej;
Dzisiaj *Worek Judaszów* bokiem mu wychodzi.

Przychodzi kolej na skargę serca. Klonowicz kochał całym ogniem poety.

....I ja byłem szczęśliwy, ja dziś nędzarz stary,
I mnie niegdyś kochano, kochano bez miary..
. . . .
Jam ją kochał, ach kochał... o przepuść mi boże!
Więcej niż własną duszę, niżli ciebie może..
Lecz . . . .
Zdrowie mnie opuściło, a w długiej chorobie
Byłem nieznośny ludziom, nieznośny sam sobie,
Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
Towarzyszka żywota odeszła odemnie?...
Rzuciła mnie w chorobie...

Zaiste, Syrokomla nie dotrzymał nam słowa, bo i czytelnikom i sobie nie szczędził goryczy. Czyż może być coś dotkliwszego, nad tę ironią, z jaką Synokomla zdaje się uniewinnia wiarołomną kobietę przez usta anielskiej, cierpiącej duszy. Jestto szatański uśmiech politowania, który miasto litości wykrzywia naiwnie obraz kobiety do potworu?.... Czyż tylko w blasku i świetności ma kobieta nam przez życie towarzyszyć?.... Nasze łoże boleści ma być dla niej ołtarzem drugiego ślubu...... (C. d. n).

Listy z podróży.

I.

Kolini w zatoce *Kamieszu*, w lutym 1856.

(Ciąg dalszy).

Tysiące rodzin znakomitych osiadają w nowouformowanych królestwach Syrii, a po czwartej wojnie krzyżowej (1203) — w Konstantynopolu i Grecji: z tąd liczne ze wschodem stosunki.[1]) W Europie ustalają się wschodnie zwyczaje i że tak się wyrażę, moda przedmiotów wschodnich. W krótce zwyczaj i moda stają się przyzwyczajeniem i potrzebą i handel wschodni staje na posadach niewzruszonych i zapewnia byt dobry narodom, które mu się poświęciły. Stany zjednoczone i wschodnio-Indyjska kompanja są wynikiem i rozwojem epoki tej. Cały handel kolonialny jest dalszym ciągiem handlu ówczesnego. Wówczas przy równych potrzebach, jedyną drogą handlu wschodniego była mała Azja i morze Czarne. Wenecja, Piza i Genua zaczęły walkę na zabój o monopol handlu wschodniego i wspólu bieganie się rzecz-pospolit tych napełnia całą epokę wojen krzyżowych, i było nieraz silną dźwignią wypadków politycznych.

Wenecjanie, podczas pierwszej jeszcze wojny krzyżowej, utwierdzili się w Konstantynopolu, a przywilej Henryka, króla Tyru (1129) zapewnił im handel wybrzeży syryjskich. W czasie tym, wpływy ich w Konstantynopolu tak były znaczne, że, gdy genueńczykowie zawarli z cesarzem Emanuelem przymierze handlowe (1155), i uzyskali prawa równe Wenecyi i Pizie. Wenecianie połączyli się z Pizanami, wzburzyli pospólstwo stolicy, i ograbiwszy genueńską część miasta, konsula ich i kupców wypędzili (1162). Gwałt ten był powodem wojny pomiędzy Wenecią i Pizą z jedej a Genuą z drugiej strony. W wojnie tej zniszczała cała marynarka Pizy, co było przyczyną upadku miasta tego. Genua wyszła zwycięzko, i na nowo w Konstantynopolu utwierdziła handel swój. [2])

Podczas czwartej wojny krzyżowej, Henryk Dondolo, Doża Wenecki wziął czynny udział w wyprawie, i po wzięciu Konstantynopola (1203), dostał w podziale czwartą część kraju podbitego i ósmą część miasta, z tytułem: Dominus quartae partis et dimidiae imperii Romani. Równocześnie pod władzę Wenecii dostały się Koron i Modon w Peloponezie [3]). Boduin, król Jerozolimski, nadał jej jedną część miasta w Jerozolimie, trzecią część Cezari, Azor i Akon, (St. Jean d'acre). Leon król ormiański, pozwolił Wenecianom handlować w Torsie i Molmestrze. Okręta ich zjawiły się na morzu Czarnem (mare major), a czas pobytu Francuzów w Konstantynopolu był złotą epoką handlu Weneckiego [4]). Główną zasadą polityki weneckiej było zniszczenie Greckiej marynarki; lecz tym

[1]) Chron. des guer. des Francs en Romanie et Morée. Ducange. Hist. de l'Emp. de Const. Guizot. Hist. de la Civil. [2]) Ginstiani Chron. Gen. Liv. III. Chap. 42 et 105. [3]) Chr. des guer. des Francs en Romanie Liv. 1. Ducange Hist. de l'Emp. de. Const. [4]) Giustiani.

sposobem Wenecja niechcący przygotowała przyszłe wzniesienie się Genui. [1])

Genueńczykowie, widząc że Wenecja całą politykę swoją ugruntowała na władzy Francuzów w Konstantynopolu, nie wahali się połączyć z Grekami, i w celu przeważenia wpływów weneckich, zawarli traktat z Michałem Paleologiem, na mocy którego cesarz grecki nadał im prawo założenia Galaty, uwolnił ich od cła w granicach Cesarstwa i obowiązał się płacić pewną summę jako honorarium. Genueńczykowie, ze swej strony, obowiązywali się wynajmywać Cesarzowi tyle galar genueńskich, i liczne armie Greków obległy Konstantynopol z morza i z lądu. Mieszkańce stolicy chwycili się strony oblegających, i 2 Czerwca 1261 roku Konstantynopol na wieki straconym został dla Francuzów i Wenecian. [2])

Genueńczykowie odtąd, trzymając się ściśle partii narodowej przeciw zdobywcom, powiększają wpływy swoje i przywileje w Konstantynopolu; i tak, w wojnie przeciw despocie Arty i księciu Morei, widzimy znowu flotę ich na żołdzie greckim. [3])

Co się tycze handlu, cała uwaga Genueńczyków zwróciła się na morze czarne. Przedtem Wenecia przeważała wpływy ich w Natolii; aby więc otworzyć sobie nową drogę, i zabezpieczyć się od korsarzy weneckich, genueńczykowie przedsięwzieli założyć kolonię na północnych brzegach morza czarnego. W tym celu wysłali pewnego Kaffaro, kupca, polecając mu aby wyszukał miejsce sprzyjające handlowi i żegludze. Wybór Kaffara padł na zatokę starej Teodozii. Ziemie przyległe zatoce tej należały do Oran-Timura, jednego z potomków Czingisa. Kaffaro kupił u Chana tego kawałek gruntu, i natychmiast rzucił podwaliny przyszłego miasta. Szybko wzrastała nowa kolonia. Kaffa w 1289 była już w stanie dać posiłki oblężonemu przez Saracenów Tripoli. Wenecianie niepoprzestawali intryg w celu zniszczenia genueńskich kolonii i handlu genueńskiego na morzu czarnem. W 1292 wysłali sekretnie 20 galer. Kaffa była niespodzianie napadnięta i i ze szczętem spaloną. Lecz genueńczykowie zanadto doznawali duże korzyści handlu czarnomorskiego, aby łatwo dać zrazić się przeciwnościom. Zamach Wenecii otworzył im oczy i przekonał, że tylko, posiadając Bosfor, mogą być panami morza czarnego; uprosili więc cesarza Andronika (1304) o pozwolenie ufortyfikowania Galaty, Galata, oprócz tego, że była punktem pośredniczem pomiędzy czarnomorskiemi koloniami a Genuą, doskonale przytem panowała nad Bosforem. Odtąd monopol żeglugi czarnomorskiej należy całkowicie do Genueńczyków. [4])

Odbudowana Kaffa szybko wzrastała w bogactwa i w potęgę. Jan XII wyniósł ją na stolicę biskupstwa, senat genueński uczynił ją rezydencią rządu kolonii.

Genua założyła w ówczas liczne osady na brzegach morza czarnego. Cały brzeg południowy okrytym był faktorjami jej, pomiędzy któremi najznaczniejsza była w Trebizondzie. Na wschodnim brzegu dotychczas jeszcze Czerkiesi genueńskiemi zamkami nazywają wszystkie ruiny nad—

[1]) Chr. des guer. des Fr. en Rom. [2]) Idem. [3]) Idem.
[4]) Gen. Liv. III. Ch. 42.

morskie. Na północnym brzegu, gdzie handel był znaczniejszym, genueńczykowie posiadali całe miasta i tak, oprócz Kaffy, widzimy: Cerko (Kercz), Sohdaję (Sudak), Cembało (Bałakława), a następnie: Tana i Eupatorija. [1])

Genua, dla zapewnienia dobrego bytu kolonjom, a zarazem dla utrzymania ich w posłuszeństwie, ustaliła system rządu, podług którego władza wykonawcza zostawała zawsze w ręku metropolii; władza zaś prawodawcza i sądownicza, w ręku kolonii. Konsul, nosząc pyszny tytuł konsula Kaffy i Chazarii, przysyłanym był z Genuy: władza jego trwała dwa lata, i przed przybyciem następcy niewolno mu było wydalać się z kolonii. Rada, składająca się z 8 członków, czuwała nad sprawami handlowemi i bez appelacyi sądziła sprawy cywilne. Rada ta nosiła tytuł officium Chazarii; członkowie jej wybierani byli z liczby obywatelii kolonii. (Dalszy ciąg później.)

[1]) Guistiani Chr. Gen. Liv. III. Ch. 131.

Rozmaitość.

* Właśnie było to w Wilnie w zapusty; w nocy wyskoczył mróz duży, powietrze było okropne. Pod bramą jednego z domów, nad Wilenką położonych, gdzie tak jak za klauzurą klasztorną żyją za pobożne niewiasty chcące uchodzić panie, podrzucono dziecię; dziecię krzykiem swoim obudziło pobożne mieszkanki, wybiegały one tłumnie i dalejże wołając, że trzeba ochrzcić, a może nie chrzczone, zabrały dziecię do najbliższego mieszkania, posłały po księdza, a tymczasem uklękły do koła dziecięcia i poczęły się modlić, a dziecię przeziębłe, osypane śniegiem, w wilgotnych i namarzłych pieluszkach, płakało, ale żadnej z obecnych nie przyszło na myśl ogrzać, utulić, nakarmić, zmienić powijaki dziecięciu; bo i gdzieżby mogły się takiemi marnostkami zajmować: one pracowały nad jego zbawieniem, a ksiądz wciąż nie przychodził, a dziecię wciąż płakało; w końcu wrócił posłaniec, donosząc — że księdza nie ma w domu. Co tu uczynić? rada w radę — nie hodować dzieciaka za klauzurą; ochrzciły więc go z wody, wyniosły nazad pod bramę i znowu zebrawszy się w jednym pokoju, z całem podniesieniem ducha modliły Bogu, by kto poczciwy znalazł i przytulił dziecię; lecz nad sierotą Pan Bóg z kaletą; od strony Zarzecza dała się słyszeć krotochwilna piosnka i dwóch młodych ludzi, może wracających z jakiej hulanki, spostrzegli płaczące dziecię, a że żaden z nich nie miał domu ani przytułku dla dziecięcia, więc poczęli kołatać co siły do bramy, a jeden z nich schował pod płaszcz i swoim oddechem ogrzewał. Po półgodzinnem może dobijaniu, z za bramy dał się słyszeć ochrypły głos: »Kto tam?«—»Czemu nie otworzycie bramy i nie weźmiecie dziecięcia?«— Ależ za bramą dało się słyszeć jakieś przekleństwo: »Czy to dóm przytułku? czy co, że dziecię przynosicie, idźcie dalej; co to do nas cudze dzieci należą.«—I próżno się dobijali, próżno harmiderowali pod bramą, ani proźby, ani pogrożki nic nie wskórały. Stróżówka jakby nie słyszała, mrucząc jakąś nowennę, poszła do ciepłej izby a młodzi ludzie zostali z dzieciakiem na mrozie, i przywoławszy budnika, wraz z nim zanieśli dziecię do kwartałowego naczelnika, i tam chcąc zabezpieczyć pierwsze potrzeby dzieciaka, zajrzeli do pugilaresów, lecz tam zaledwie po kilkanaście złotych było, oddali wszystko co mieli, a że tego było za mało, uprosili więc naczelnika by się zajął dziecięciem, a że oni obowiązują się miesięcznie po 20 złotych przez cały rok dostarczyć.— Zachodzi teraz pytanie, czyja modlitwa prędzej trafi do Boga, czy chcących za pobożne uchodzić niewiast, czy biednych sowizdrzałów? (*G. W.*)

* P. Lucyna Mieroszewska, znana z kilku dziełek, wydanych dla młodocianego wieku, ogłosiła świeżo w Warszawie nową pracę w tym zakresie, któremu głównie życie swe poświęciła, pod tytułem: *Rady praktyczne o początkowem wychowaniu dzieci, od pierwszego do piątego roku życia.* Na czele wytłoczone są nader słuszne, a dla zacnej autorki bardzo pochlebne, *uwagi Rady Lekarskiej Królestwa Polskiego.* Umieścimy tu kilka słów tylko z tych uwag (str. VII—IX.) »Praca ta, tak wysokiej jest wartości, że zasługuje na bliższy rozbór... Każdy zapewne przyzna, że ona jest najpożądańszem zjawieniem, dopełnieniem uczuwanego braku, bo w tem nie zbyt obszernem dziełku (o str. 330) znajdują się bogate skarby.... Założenie *Autorki*, które tak ściśle określone, nie znalazło miejsca w żadnem z najsłynniejszych nawet dzieł tego rodzaju, otrzymujemy tu prawdziwie wzorowo rozwiązane, w sposób zarówno wzniosły i pociągający, jak przystępny i zrozumiały, bez wymuszenia, bez silenia się na niewłaściwą kwiecistość stylu, napisane językiem czystym i jędrnym, a zawsze szlachetnym i odpowiednim ważności przedmiotu.... Wszystkie przedmioty wyłożone są z niepospolitym talentem, dobijającym się w rzadkiem usposobieniu duszy, która przejęta całą wzniosłością podjętej pracy, szła tylko za głosem serca, pod przewodnictwem głębokiego zastanowienia, przy doskonałem pojęciu i zrozumieniu przedmiotu.« Nie mając nic dodać do tak zasłużonego zdania, które, w dalszym ciągu, zowie myśl p. L. M. *po mistrzowsku przewidzioną* w dziele, donosimy tylko czytelnikom, że szanowna autorka jak donosi Gaz. Warsz., pracuje obecnie nad podobnemże dziełem wychowawczem z epoki od 5go do 12 roku życia.

* **Triumf pani Halpertowej.** W roku 1847 przedstawiono w Warszawie w sierpniu *Kwodlibet* dramatyczny. Niezwykłym w takich razach zwyczajem przedstawiono między innemi drobiazgami dramatycznemi scenę z *Makbeta*, tę właśnie, w której Lady Makbet obmywa ręce z krwawych plam. Pani Halpertowa występowała w tej roli i jakkolwiek zachwyciła grą swoją kilku znawców, to jednak na publiczności warszawskiej nierównie większe wrażenie zrobił następujący potem balet. — Gra pani Halpertowej przeminęła jak coś zwykłego. Niewiedziano wszelako że tu chodziło o triumf sceny tragicznej warszawskiej nad Londyńską, która w sztukach Szekspira dotąd jest uważana za najcelniejszą. Całym powodem bowiem do odegrania tej sceny, dla której dodano resztę kwodlibetu, był zakład między znakomitym Warszawianinem a lordem angielskim. Warszawianin był w Londynie w »*Covent-Garden Theatre*« na przedstawieniu Makbeta. Podczas wspomnionej dopiero sceny, odgrywanej przez najsławniejszą artystkę londyńską, odezwał się lord N, sąsiad warszawianina:

— Prawda że żaden teatr na świecie niema podobnej przedstawicielki lady Makbet. —

Polak na to odpowiedział: — Halpertowa artystka warszawska (znana na lwowskiej scenie pod nazwiskiem panny Żuczkowskiej) lepiej tę scenę oddaje.

Na to Anglik obruszony oświadczył się gotowym natychmiast pojechać do Warszawy, aby się o »*przechwałce*« naocznie przekonać i założył się o znaczną sumę że warszawianin sam będzie musiał przyznać pierwszeństwo artystce Londyńskiej.

Słowo się dało, zakład stanął i pojechali obaj do Warszawy na jedno przedstawienie Makbeta.

Wśród gry pani Halpertowej jednakże anglik powstaje wzruszony do najwyższego i zawołał:

— God dam, przegrałem zakład.

Zapłacił przegranę i tej nocy jeszcze wrócił do Londynu.

Kwodlibet a mianowicie scena z Makbeta była przedstawioną umyślnie na żądanie tych dwóch panów, i odtąd Anglik twierdzi że teatrowi »*Covent-Garden*« tylko Halpertowej niedostaje aby odnieść pierwszeństwo w Europie. Znalazłby podobno więcej takich artystów i artystek na naszych scenach, gdyby ich cenić umiano.

Nowiny lwowskie.

* W Sobotę o godzinie 4tej odbył się w kaplicy, w pałacu Arcybiskupim, ślub JW. hr. Siemińskiego z JW. hrabianką Zofią Lewicką. Ślub dawał ksiądz Samuel Piasecki z zakonu Ojców Bernardynów.

* Piszą nam z Wiednia 24go kwietnia iż towarzystwo kolei północnej otrzymało(?) całą kolej z Oświęcima do Dembicy, tudzież przywilej dalszego budowania tej kolei do Przemyśla, Lwowa i Brodów z warunkiem ukończenia budowy do roku 1860; szlachta zaś galicyjska koncesją na budowę kolei ze Lwowa do Czerniowic.

Przyjechali od dnia 26. do 28. Kwietnia do Lwowa.

PP. Prospery hr. Zborowski z Skoliszyna. Mik. Korwin z Jureczkowiec. Włod. hr. Dzieduszycki z Poturżyc. Rob. Bogdanowicz z Litatyna. Fran. Mołęcki z Sokala. Marcin Korosteński z Łąki. Ludwik Cielecki z Łoziny. Maur. Kęzmianowicz z Bielan. Alex. hr. Fredro z Rudek. Zyg. Kozłowski z Cieszyna. Dyonizy Groblewski z Lutynki. Mich. Rosocki z Zamarstynowa. Adam Bogusz z Bortnik.

PP. Jan Torosiewicz z Połtwi. Wład. Dydyński z Sielnicy. Apol. Dydyński z Grązowy. Jęd. Cywiński z Delejowa. Kaz. hr. Komorowski z Przemyśla Jan Nahujowski z Kropiwnik. Stan. Sawicki z Połonii. Tad Skolimowski z Humieńca. Adam Pajgert z Lubianek. Ernest Kowalski. Tyt. Strzelecki z Birczy. Alex. Gniewosz z Przemyśla. Jul. Janiszewski z Woleniowa. Alex. hr. Badeni z Glinian. Fel. Włod. Pawłowski z Brodów. Okt. Pietruski z Sambora. Leon hr. Stadnicki z Nadyb. Stan. Gostyński z Hnizdyczowa. Tyt. Kielanowski z Kozłowa. Jak. Czapelski. Tad. Głowacki, Łukasz Solecki z Milatyna.

PP. Ig. Krzeczunowicz z Jaryczowa. Ig. Kozaryn z Ulicka. Her. Gumowski z Borek. Tad. Szepański z Czajkowiec. Roman Broniewski z Tarnowa. Jan Miączyński z Suchodół. Alfred Mysłowski z Zubrza. Wil. Pozniak z Bukowska. Jan Szwajkowski z Tarnowa. Jan Jaruntowski z Hermanowic. Karol Pacher z Krakowa.

Wyjechali od dnia 26. do 28. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Teod. Głowacki. Łukasz Solecki do Milatyna. Nik. Smarzewski do Artassowa. Hip. Łączyński do Liska. Józ. Witosławski do Liska. Kaj. Bobrski do Byszowa. Alf. Rubczyńki do Stanina. Apolin. Jaworski do Ordowa. Romuald Morawski do Dobrowód. Rom. Wybranowski do Dźwinogrodu. Leon br. Baranowski do Zaleszczyk. Zenon Cywiński do Telaczego. Fran. Zadurowicz do Krakowa. Lud. Cielecki do Łoziny.

Jul. Dorau do Mikołajowa. Krzysztof Strzelecki do Rohatyna. Nik. Zawadzki do Krzywego. Antoni Waniek do Przemyśla. Ant. Gembarzewski do Szechyni. Hr. Zborowski. Jul. Zalewski do Dembicy. Józ. Bierzecki do Przemyśla. Piotr Łodyński do Prusinowa. Jan Strzelecki do Kukizowa. Win. Antoniewicz do Skwarzawy. Jan Lityński do Bortkowa.

PP. Alex. Łękawski do Podhajczyk. Adam Bogusz do Bortnik. Karol Barony do Chodorowa. Adam Kłodziński do Parchacza. Jul. Schuman do Rawy. Ant. Linhardt do Sambora. Jan Kunaszewski do Tarnowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	102 1/2	Pożyczka 5% . . .	84 5/8
Hamburg za 100 tal. branco	74 7/8	Akcye banku	1108
Londyn za 1 funt szterl.	10.2 1/2	Kolej północna . . .	3020
Medyolan za 300 lirów	102 1/2	Obl. ind.	77 3/8
Paryż za 300 franków	119 1/4	Nowa pożyczka z loterya	107 1/2
Agio duk. ces. . . .	5 5/8	Pożyczka narodowa .	85

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	41	4	45
Dukat cesarski	4	45	4	49
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	55	1	56
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	84	20	84	40
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	77	15	77	45
5 proc. pożyczka narodowa	84	40	85	20
Śrebro	—	—	—	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierżawca W. MANIECKI.